

„Do kościoła chodzę dla Boga, a nie dla księdza”! (2)



Przyczyny, że wcześniej wierni parafianie przestają chodzić do kościołów, są różne.

Jednak najczęściej jest to spowodowane gorszącym postępowaniem duchowych, którzy dopuszczają się takich czy innych – często nieludzkich

nadużyć... Z dzieciństwa pamiętam głośny w okolicy przypadek żyjącej na granicy nędzy wdowy z czworgiem małych dzieci, od której proboszcz zażądał, by sprzedała jedyną krowę, aby opłacić koszty pogrzebu męża. I jeszcze pouczał ją, że <przecież mężowi należy się godny katolicki pochówek>!...

To rodzi zgorszenie i gniew, sprzeciw i bunt, który dziś coraz częściej wyraża się żądaniem apostazji, czyli wykreślenia z ksiąg parafialnych!... A cóż dopiero mówić o takich przyczynach, jak niesłychana zachłanność kleru, niemoralne prowadzenie się księży, o rozsianych po parafiach <księżowskich dzieciach>, czy o zbrodniach pedofilii?!...

Ale najbardziej tragiczną i zarazem najsmutniejszą konsekwencją zgorszeń, których źródło bije w rzymskim kościele jest to, że ludzie tracą zaufanie do Pana Boga i porzucają wiarę, powiększając szeregi agnostyków i ateistów!

Choć w mojej ocenie jest to poważny, wręcz zasadniczy błąd – bo czyż jest logiczne, by odpowiedzialność za zachłanność i nieporządne życie pewnej części duchowieństwa, za niemoralność księży, oraz za zakłamanie i obłudę hierarchii kościelnej, zrzucać na Boga i odwracać się od Niego?!

Owszem, przytoczony wyżej przypadek pana, który – mimo zgorszenia – nadal chodzi do kościoła („Do kościoła chodzę dla Boga, a nie dla księdza”), także nie jest właściwym

rozwiązaniem! Bo choć pan przestał szanować nierzetelnych ludzi i zdystansował się od nich, to chodząc do kościoła nadal przyjmuje nieprawdziwe nauki nierzetelnych, i zachowuje przejęte z pogaństwa obyczaje, ryzykując utratę zbawienia. Pan Jezus Chrystus powiedział:

- „Daremnie mi jednak cześć oddają, głosząc nauki, które są nakazami ludzkimi” (Mt 15,9)!

Dlatego jedynym właściwym rozwiązaniem dla każdego szczerego parafianina jest dokładne poznanie doktryn rzymskokatolickich.

Tymczasem mniej jest przypadków, że ktoś przestaje chodzić do kościoła,

bo czytając Pismo Święte odkrył, jak daleko Watykan pobłądził od Pisma Świętego! O tym, że taka jest rzeczywistość, orientuje się coraz więcej parafian, ale – większość jednak woli o tym <nie wiedzieć>! Bo jest to trudna i niebezpieczna wiedza, która może – jak kiedyś w przystępie szczerości przyznał mój dawny szkolny kolega – „nieźle namieszać w głowie i w życiu”...!

Wiedział co mówi, bo zaznał tego osobiście, gdy ze względu na wiedzę biblijną, posłuszeństwo Bożym przykazaniom i nauce Jezusa Chrystusa – która w zasadniczych punktach bardzo różni się od tego, czego księża uczą z kościelnych ambon – omal nie utracił rodziny!...

Ale i tak zapłacił wysoką cenę z zainteresowaniem się Ewangelią. Za to, że czytał Pismo Święte i miał odwagę stawiać trudne pytania; że próbował się dzielić z sąsiadami swymi przemyśleniami, niemal z dnia na dzień z szanowanego i godnego zaufania sąsiada, stał się osobą podejrzaną, odstępcą od <wiary ojców> i <zdrajcą Chrystusa>...! Taką opinię urobił mu i taką atmosferę stworzył wokół niego miejscowy proboszcz z pomocą oddanych parafian!...

Dlaczego tylu ludzi wierzy w takie pomówienia i ulega presji kół parafialnych, odwracając się plecami od Pisma Świętego?... Może brak im cywilnej odwagi? – Być może, ale chyba nie tylko

o to. Jestem przeświadczony, że oni po prostu obawiają się sprawdzić, czy nauka, którą głoszą księża, jest zgodna z Pismem Świętym! Bo rzeczywistość jest taka, że przytłaczająca większość parafian nigdy tego nie zrobiła – a co gorsze, WCALE NIE ZAMIERZA Z BIBLIĄ W RĘKU SPRAWDZAĆ SWE WIERZENIA I PRAKTYKI RELIGIJNE! W istniejącej sytuacji wolą raczej podawać w wątpliwość objawioną w Piśmie Świętym naukę, a także samo Pismo Święte („Bo czy to aby na pewno jest prawda?...” – pytają).

Nazwę rzecz po imieniu:

Jestem przekonany, że takim ludziom nie zależy ani na poznaniu Bożej Prawdy, ani na własnym zbawieniu!

Słuchajcie! Ja nie mówię tu o agnostykach czy ateistach. Są to najczęściej ludzie deklarujący się jako chrześcijanie, czasem zaangażowani (owszem, na pewno nie biblijni chrześcijanie!) Ale im wcale nie zależy na zbawieniu. Bo gdyby zależało, nie traktowaliby najważniejszej sprawy życia – swego osobistego zbawienia – z taką nonszalancją i beztroską! W Liście do Rzymian 14,12 ap. Paweł ostrzega, że „każdy z nas za samego siebie zda sprawę Bogu”, a w Drugim Liście do Koryntian dodaje:

- „Albowiem my WSZYSCY musimy stanąć przed sądem Chrystusowym, aby KAŻDY odebrał zapłatę ZA UCZYNKI SWOJE, dokonane w ciele, dobre czy złe” (2 Kor 5,10).

Oni jednak nie traktują tych słów poważnie. Postępują raczej w myśl osławionej i po tysiącokroć skompromitowanej zasady, iż „Jakoś to będzie” – bo przecież oni mimo wszystko są ludźmi zacnymi i nabożnymi. I mają dobre intencje...

I teraz właśnie o tych „dobrych intencjach”, do których odwołuje się wielu ludzi, np. w kwestii kultu obrazów i posągów:

- „Przecież ja wiem, że to tylko płótno, dykta, czy gips...” – powiedział mi pewien pan w Sosnowcu, z którym zacząłem rozważać Pismo Święte. „Ale ta podobizna pobudza moją wyobraźnię i w pewien sposób przybliża mi święte, niewidzialne

osoby”... (Pan miał w mieszkaniu mały ołtarzyk, w centrum którego znajdował się obraz <Czarnej Madonny z Dzieciątkiem>, a po bokach dwie pięknie zdobione świece. – „To moje miejsce modlitwy. Ale ja się nie modlę do martwego obrazu, lecz do mojej Orędowniczki, która żyje i jest w niebie!”).

Musiało minąć nieco czasu, zanim ten starszy już wiekiem, niezwykle sympatyczny, ale też – i to w tym przypadku było niezwykle istotne – otwarty człowiek, zrozumiał, że wszystkie swoje poglądy, wyobrażenia i praktyki powinien starannie sprawdzić pod kątem ich zgodności z Pismem Świętym. Po to, by poznać wolę Najwyższego i odrzucić wszystko to, co w Jego oczach jest błędem i zawadą na drodze do zbawienia. W tym przypadku dotyczyło to nie tylko kultu obrazów, lecz także katolickich wyobrażeń o <Bogurodzicy>, którą czcił od lat jako <Królową Niebios> i <Orędowniczkę> przed tronem Stwórcy... I wielu innych poglądów, wierzeń i praktyk religijnych.

Kwestia intencji wypłynęła także w rozmowie w Jaworznie,

gdzie wspomniany w pierwszej części artykułu kleryk, chcąc mnie – a właściwie to głównie swoich rodziców – przekonać o celowości i o pożytku płynącym z kultu <świętych obrazów>, w pewnej chwili powiedział, że czynnikiem decydującym są intencje czciciela:

- „Zgadzam się, że obraz jakiejś świętej postaci nie jest tym samym, co widoczna na nim święta osoba. Ale obraz przypomina mi tę osobę – tak jak zdjęcie moich rodziców przypomina mi ich samych, i budzi w sercu ciepłe, serdeczne uczucia... To przecież w tym celu nosimy w portfelach zdjęcia naszych bliskich – prawda?”

- Odpowiedziałem: „Są co najmniej dwie podstawowe różnice pomiędzy tworzeniem i kultem obrazów religijnych, a traktowaniem zdjęć naszych bliskich – powiedziałem. Po pierwsze, zdjęcie oddaje rzeczywisty wygląd bliskich nam osób – podczas gdy malunki tzw. <świętych postaci> niewiele lub nic nie mają wspólnego z rzeczywistością. Po drugie: nikt normalny nie oddaje religijnej czci i nie adoruje posiadanych zdjęć;

nie modli się i nie bije pokłonów, nie okadza i nie pali przed nimi świec, a na ich portretach nie zawiesza wotów – jak to się dzieje z katolickimi <świętymi obrazami>! Przede wszystkim zaś gdy chodzi o tworzenie wizerunków i sprawowany wokół nich kult, Pan Bóg tego kategorycznie zabronił pod sankcją surowej kary, z utratą zbawienia włącznie!”

Dostrzegłem, że o ile te argumenty wyraźnie trafiały do rodziców kleryka (parę razy wymienili spojrzenia, a ojciec w kilku momentach skinął z aprobatą głową), to syn, skupiony na obronie swego poglądu, niewiele sobie z nich robił:

- „Owszem – przyznał – zdjęcie, to nie to samo, co namalowany obraz. Ale przecież twórcy świętych wizerunków nadają tym postaciom szlachetne oblicza, i nawet ich szaty, czy na przykład zarost albo kolor włosów są takie, jakie noszono w ich epoce...”

- „Myślę, że zgodzi się pan – wszedłem mu w słowo – iż geniusz nawet najwybitniejszego twórcy ani jego wysiłek, nie odda nigdy prawdziwego wyglądu modelowanej nieznannej postaci!... Nie mówiąc już o Bogu, który – jak mówi Pismo Święte – jest Duchem (Ewangelia Jana 4,24)... A teraz spójrzmy na rzeczywistość; proszę mi na przykład wyjaśnić, co słynny częstochowski obraz <Czarnej Madonny z Dzieciątkiem> ma wspólnego z Marią z Nazaretu – czy matka Jezusa była Murzynką, albo może Jezus był kiedyś małym Murzynkiem?!... Jak pan widzi, pański argument, że dzieła malarzy i rzeźbiarzy oddają wiernie dawne czasy, jest mocno nietrafiony... Zresztą, historia religii nie pozostawia wątpliwości co do tego, że czczone w kościele katolickim obrazy i posągi, zostały zapożyczone z religii i kultur pogańskich... Może się pan o tym łatwo przekonać, sięgając do licznych opracowań na ten temat...”

Mój rozmówca zamilkł na chwilę, dlatego kontynuowałem:

- To, co powiedziałem, dotyczy tworzenia wizerunków. Ale jest jeszcze sprawa kultu, jaki wokół nich się odbywa ...”.
- ”Ale my przecież nie czcimy samych obrazów jako takich, lecz osoby, które te wizerunki przedstawiają...”

- „Czyżby? – zaproponowałem... Na pewno był pan kiedyś w Częstochowie na odsłonięciu obrazu <Czarnej Madonny>. Ja też tam raz byłem – i widziałem oraz słyszałem wszystko, co się tam (a podobno za każdym razem) dzieje! Ta wyreżyserowana gra cieni, świateł i dźwięku... te ludzkie oczy, wpatrzone z napięciem w odsłaniane powoli płótno... ten zachwyt i uwielbienie... te łzy i spazmy oraz pełna uwielbienia adoracja... O czym to świadczy, jeśli nie o najwyższej czci tego – jak się zresztą wyraźnie podkreśla – <cudownego obrazu>?!... Nie ma najmniejszej wątpliwości, że kościół katolicki twierdzi, iż nie tylko <Bogurodzica> jest cudowna, ale również CUDOWNY JEST JEJ WIZERUNEK!... Toż to jeden z najwyższych i najdobitniejszych przejawów kultu obrazu! – A pan mi mówi, że nie czcicie obrazów jako takich, lecz uwidocznione na nich postacie. Przecież to oczywista nieprawda...”

- „Ale pozostawmy Częstochowę – mówiłem dalej – bo identyczne rzeczy, może na nieco mniejszą skalę, dzieją się na wielu innych miejscach, w tzw. sanktuariach, a także w lokalnych katolickich kościołach. To jest głęboko zakorzenione i powszechne zjawisko i zachowanie wiernych. Ludzie zdejmują czapki i kłaniają się wizerunkom umieszczonych w tysiącach kapliczek na pagórkach i rozstajach dróg, oraz w innych niezliczonych miejscach kultu... A przychodzący <po kolędzie> ksiądz rozdaje dzieciom <święte obrazki> i podsuwa wiernym do ucałowania drewniany albo metalowy krucyfiks... Pytam: co całują parafianie – Pana Jezusa Chrystusa, który zasiada w niebie „po prawicy Majestatu” (List do Hebrajczyków 1,3), czy kawałek obrobionego przez rzemieślnika tworzywa...?!”

Odwołanie się do częstochowskiej rzeczywistości wywarło wrażenie na moich gospodarzach – pan domu zmarszczył brwi i jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował... Miałem świadomość, że stąпам po cienkim lodzie, bo dla rzymsko-katolika obraz jasnogórski jest czymś zupełnie wyjątkowym, i przez moment obawiałem się nawet, w tym momencie nasza dyskusja może się nagle i nieprzyjemnie zakończyć... Jednak nic takiego nie nastąpiło, a podczas kolejnych odwiedzin w tym

domu dowiedziałem się, że w tym temacie państwo mieli już swoje własne wcześniejsze doświadczenia, które kazały im patrzeć z rezerwą na sprawowany na Jasnej Górze kult... Co więcej, dowiedziałem się, że sprawę znał także ich syn, i chyba temu należy przypisać, że i on na moje uwagi o <Pani Jasnogórskiej> nic nie powiedział.

Nie wiedząc o tym, w czasie trwającej dyskusji poprosiłem, by może teraz on zabrał głos.

- „Pan na wszystko patrzy niezwykle krytycznie i surowo ocenia prostych i szczerych ludzi – powiedział. To nie jest miłe... A dlaczego pan nie pomyślał, że to wszystko jest wyrazem czci, którą oni tak naprawdę kierują do nieba, do świętych, którzy tam mieszkają, a nie do tworzywa z jakiego powstały wizerunki. Czy nie warto rozważyć takiej ewentualności?”

- Odpowiedziałem wprost: „Jest pan wytrwały w powtarzaniu wciąż tej samej sugestii, która nie znajduje pokrycia w rzeczywistości, a przede wszystkim – i to uważam za najistotniejsze – jest sprzeczna z Pismem Świętym. Bo w Piśmie czytamy, że dawne pogańskie wierzenia i praktyki, jakie zaadoptował na swe potrzeby kościół katolicki, Pan Bóg kwalifikuje jako bałwochwalstwo i nim się brzydzi! A pan na siłę chce im dorobić inną metryczkę...”

- „W jednym ma pan rację – dodałem – w tym mianowicie, że prosty lud rzeczywiście bardzo często „nie wie, co czyni”. Ale kto za to odpowiada, jeśli nie pasterze tego ludu? To przecież duchowni oficjalnego kościoła katolickiego, począwszy od IV wieku po Chrystusie, przyjęli pogańskie wizerunki, i nadając im chrześcijańskie imiona, zbudowali wokół nich kult. Reszty dopełniła systematyczna, trwająca całe wieki indoktrynacja <maluczkich>, m.in. opowieści o rzekomych cudach, jakie przypisywano wizerunkom – w co prosty lud bezkrytycznie uwierzył... I tak się to toczy. Lud wierzy, że obrazy są <święte> i <cudowne> i czci je myśląc, że to podoba się Panu Bogu – choć w rzeczywistości ci biedni ludzie kłaniają się i czczą karton, drewno i gips, żelazo i kamień. Kłaniają się im i całują je, ich miniaturki noszą jako ozdobę i rodzaj

amuletu, który – jak wierzą – chroni ich przed wypadkami i przynosi szczęście, dokładnie tak, jak kiedyś (i nawet współcześnie) narody pogańskie. A większe obrazy i posągi dźwigają mozolnie w procesjach myśląc, że w ten sposób wyjednają sobie ich szczególne łaski.”

Po tych słowach zapadło milczenie.

Spojrzałem na zegarek i zorientowałem się, że powinienem się już pożegnać. Podziękowałem za rozmowę i przeprosiłem syna gospodarzy za ewentualne słowne uchybienia. Dodałem, że mam nadzieję jeszcze kiedyś się z nim spotkać, na co krótko i dobitnie odpowiedział:

- „Nie sądzę. Mam też nadzieję, że nie będzie pan już odwiedzał moich rodziców, by im mącić w głowach!”

Spojrzałem na gospodarzy:

- „Mam nadzieję, że jednak będziemy się nadal spotykać...?”

Rodzice wymienili spojrzenia, a pan domu, zwracając się do studenta powiedział:

- „Wybacz synu, ale to my o tym zdecydujemy.”
- A do mnie: „Dziękujemy za tę rozmowę, i oczekujemy pana za tydzień!”